

Lech Maciejewski

Wokół placu Wolności : wspomnienia kielczanina

Studia Muzealno-Historyczne 8, 231-241

2016

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Lech Maciejewski (Kielce)

Wokół placu Wolności. Wspomnienia kielczanina

„Ojciec mój Witold Maciejewski był właścicielem apteki w Jędrzejowie (lata 1922–1926). Z jakich przyczyn nie umiem powiedzieć, ale ojciec sprzedał tę aptekę i przeniósł się do Kielc, za uzyskane pieniądze miał otworzyć aptekę albo skład apteczny. Niepotrzebnie jednak wdał się, za namową swego młodszego brata Aleksandra, w otwarcie kawiarni „Cafe Italia”. Wszystkie pieniądze umieścił w tej kawiarni, która miała być bardzo dochodowym interesem. Zlokalizowana została, niefortunnie dla ojca, na ul. Sienkiewicza dosłownie naprzeciwko cukierni Smoleńskiego, tuż za rogiem ul. Dużej. Była to dawna cukiernia Królów, od których została odkupiona. Interes prowadził ojciec wspólnie z wujem Aleksandrem. Mój wuj Aleksander, mój kochany wuj, bardzo przyjemny człowiek, miał tę charakterystyczną cechę, że miał często «pomysły handlowe», a że był entuzjastą a nie biznesmenem, zawsze plajtował. Przeinwestowali i tę cukiernię. Ojciec w związku z tym znalazł się w trudnej sytuacji finansowej. Interes upadł a ojciec poszedł do pracy do apteki [Kasy Chorych w Kielcach przy ul. Tadeusza Kościuszki 11, dzisiaj Kościuszki 3] i tam pracował do wybuchu wojny.”

Nagranie z dnia z 20 maja 2015 r.

„Tak się złożyło, że w Kielcach mieszkałem właściwie w obrębie jednej dzielnicy, stąd moja jej dobra znajomość. Urodziłem się na Bazarach pod trzecim, (pl. Wolności 3), jak się zaczyna Ewangelicka, był to dom mojego wujka Eugeniusza Komendy, który był żonaty z najstarszą córką z rodziny Borkowskich. Tam przyszedłem na świat 17 grudnia 1929 r., ale ponieważ urodziny dziecka zgłaszało się dobrowolnie, więc tata poszedł do księdza i zgłosił, że się urodziłem 1 stycznia 1930 r.

W 1937 r. przeprowadziliśmy się na ul. Słowackiego 2. To było mieszkanie na I piętrze. Zajmowało całe piętro od frontu. Miało ze 150 metrów powierzchni, pokoi było 5 i kuchnia, mały hol, z którego było wejście na strych, strych też musiał mieć ze 150 metrów... Na strychu był zbiornik [liczący] 1 m³, a na dole była studnia, z której pompowano wodę do tego zbiornika, skąd płynęła do mieszkania. W podwórku była oficyna. Na parterze mieszkał pan Sempoliński, taki jowialny pan z wąsem, miał syna i córkę; pracował w magistracie i kazał się tytułować «Panie Radco». Na górze mieszkał pan Rochalski, funkcjonariusz przed wojną, tajniak policji. A w końcu podwórka była za-

padająca się stróżówka, gdzie mieszkał dozorca pan Roman Przewoźniak; pochodził ze wsi, bardzo sympatyczny, ze swą żoną, bardzo ładną dziewczyną i córką Kamilką. Obok mieszkała pani Cioruniowa, pracująca w jednej z restauracji jako sprzątaczką.”

Nagranie z 1 marca 2013 r.

„Z uwagi na to, że kamienica w której mieszkałem przylegała do bazaru, będąc w wieku kilku lat przebywałem za przyzwoleniem rodziców po placu zwłaszcza w dni, kiedy odbywały się targi. Targi większe były we wtorek, targi mniejsze w piątek. Najważniejszą budowlą pl. Bazarowego były jatki, gdzie obecnie znajduje się Muzeum Zabawy i Zabawek. Było tam ponad 30 pomieszczeń do handlowania, wewnątrz pod krużgankiem z drewna znajdowało się 20, może 30 sklepów z mięsem. Największe wrażenie robiły na mnie olbrzymie półce słoniny, grube na pięć palców, ponacinane na ukos. Chodziło o to, żeby łatwiej było je solić. Słonina była rarytasem. Chłopi szukali tak zwanej «czujnej» słoniny. «Czujna słonina» to była słonina podjelczała, którą sprzedawano taniej. Pamiętam jej ostry zapach. Przy biedzie, jaka była zwłaszcza na wsi, kawałek skórki ze słoniny był dla dziecka prawdziwym przysmakiem, rarytasem. Pośrodku jatek, na placyku stał zdrój z wodą, podłączony do wodociągów. Wokół stały balie z klepek drewnianych z obręczami, w nich Żydzi sprzedawali drobne rybki. Rybki dostarczali chłopci. W okolicznych czystych strumieniach było dużo drobnych ryb i raków. W strumień wstawiało się «opałkę», tj. okrągły pleciony koszyk i naganiało się ryby. Złapaną drobnicę przynoszono na plac i za grosze sprzedawano.

Plac był podzielony w sposób nieformalny na miejsca, na których handlowano różnymi towarami. Przy północnej pierzei handlowano artykułami gospodarstwa domowego, garnkami, galanterią metalową, nićmi i przędzą do cerowania. Było tam też stoisko z perfumami. Stało na nim dużo butelek ze szlifowanymi korkami, w których były tanie wody kwiatowe o fantastycznych nazwach: «Czarna perła», «Trzech Króli», «Rajski zapach». Sprzedawca miał gruszkę gumową z rurką, którą nabierał do buteleczek odpowiedni zapach żądany przez klienta. Na miejscu robił też kompozycje kwiatowe wedle upodobań zamawiającego. O ile zgłaszał się ktoś z własną buteleczką udzielano mu rabatu.

Obok było stoisko, na którym sprzedawano niezawodny środek na odciski, nagniotki. Okropną rzeczą było, że na stoisku oprócz buteleczek, w których był ten środek, prezentowana była jako reklama sterta odcisków-eksponatów, dowodzących skuteczności preparatu. Tu też stosowano promocję. Jeżeli klient dostarczył odpowiednio ciekawy «eksponat» dostawał porcję specyfiku gratis.

Pamiętam takiego człowieczka, małego, zasmolonego, który sprzedawał niezawodny środek na łatanie dziur w garnkach. Były to takie sztabki kilkucentymetrowe, jakby cyna do lutowania łatwo rozpuszczalna. Miał taki szpikulec i parę starych garczków. Na poczekaniu dziurawił garnki, przykładał sztabkę, którą podgrzewał zwykłą świeczką i dziura się zaklejała. Wszyscy byli oczarowani, część kupowała nie zdając sobie

sprawy, że jeżeli świeczka powoduje stopienie tego cudownego środka do lutowania, to tak samo będzie podczas gotowania...

Było też «koło fortuny», zwane też «stolikiem szczęścia». Był to mały, okrągły stół z ruchomą wskazówką, wokół której rozmieszczone były bardzo tanie w większości przedmioty możliwe do wygrania. «Kolo fortuny» było tak ustawione, że zatrzymywało się zazwyczaj tylko w miejscach pustych, a bardzo rzadko w premiowanych wygrana. Czasem grał podstawiony «szczęściarz», który wygrywał i zachęcał swym przykładem innych do gry. Oczywiście, ten który obsługiwał grę, wiedział jak ją uruchomić, żeby wskazówka zatrzymała się w odpowiednim punkcie i by wygrał jego podstawiony wspólnik. Pamiętam, jak przerzynałem całą złotówkę, a przerzynałem «z malwersacją», bo wysłano mnie po cukier. Cukier przed wojną kosztował równą złotówkę, był stosunkowo drogi; ja oczarowany jakimś straszakiem, pistoletem na korki czy czymś podobnym, chciałem go wygrać, i oczywiście przegrałem. Grano też w trzy kolory albo w trzy karty. I tu też byli podstawieni osobnicy, którzy wygrywali i namawiali do gry przyglądających się pokazowi widzów. Zwykle namówiona ofiara traciła postawione pieniądze. A jeżeli się zdarzyło, że taki wygrał, namawiano go, a wręcz przymuszano do kolejnego zakładu lub po prostu dostawał po głowie, stół brano pod pachę i uciekano.

Sprzedawano tam też środek do łatania dziur w pończochach i skarpetach. Niesłychanie były słabe, przecierały się i dziurawiły. Zmorą pań domu było cerowanie pończoch i skarpet. Co pewien czas zjawiał jakiś człowiek ze specyfikiem reklamowanym jako superklej do zaklejania dziur w pończochach. Miał stare pończochy z dziurami, a z innej krajał łatki i przyklejał demonstrując skuteczność środka. Stosowane wówczas były jednak tylko kleje dekstrynowe, które były rozpuszczalne w wodzie, w związku z tym taka łąta nie dość, że uwierała, to wkrótce odklejała się od potu.

Sprzedawano tam też trochę jarzyn, stały beczki z ogórkami kiszonymi, do których uwiązane były na łańcuchu obite emaliowane garczki. Jeżeli ktoś kupił ogórki, miał prawo tym garczkiem zaczerpnąć kwasu z ogórków i się napić. Pośród kramów krążyli ubodzy Żydzi sprzedając za grosze dzwonko śledzia z kromką chleba.

W środkowej części placu było mnóstwo straganów. Przeważnie Żydzi handlowali tam gotową konfekcją, butami, sprzedawano skórę na zelówki, na spody, dość dużo takiej skóry kupowano dlatego, że na wsi buty się reperowało we własnym zakresie. Buty były bardzo drogie, ale bardzo trwałe. Chłopi kupowali czasem buty w rodzaju saperek, albo dłuższe, ze skóry juchtowej, grubej, która wymagała później natłuszczenia. Cieńsze buty były z bukату, delikatniejszej barwionej skóry, np. sznurowane trzewiki. Buty były tak drogie, że wiejskie kobiety, zwłaszcza kiedy szły do miasta, szły boso i dopiero pod miastem zakładały buty. Bardzo oblegany był strumień na Bukówce, tam myły sobie nogi, wkładały buty i szły do miasta. Wszystko, żeby zaoszczędzić, no bo bieda była straszna. Nawet zapalki dzielono na pół, żeby na dłużej starczyły. Żeby oszczędzić zapalki pożyczano też sobie po prostu ogień na szufelce, i przenoszono, żeby zapalić w piecu.

Utkwiły mi też w pamięci stragany z konfekcją. Jacy tam byli sprzedawcy! Na straganach czasem odbywały się małe «przedstawienia». Gdy klient stojący przed lustrem i mierzący ubranie narzekał, że jest za duże i źle leży, przedsiębiorczy sprzedawca z tyłu pociągał, z przodu przyglądał i skutecznie przekonywał klienta, że «leży doskonale».

Bezsprzecznie najciekawszym fragmentem placu była taka mała, wydzielona część w pobliżu ul. Głowackiego, na której handlowano drobiem, królikami, nabiałem, masłem, serami a nawet gołębiami. Sery były w woreczku, sprasowane, miały kształt klina, gdy kto zdecydował się kupić, wtedy ser wyjmowano z woreczka przewracając go na lewą stronę. Masło sprzedawano w oselkach zawijanych w lecie w liście chrzanu. Były też przekupki sprzedające masło ze specjalnych skrzynek z wieczkiem. Czasem to masło było zabarwane sokiem z marchwi, żeby było bardziej żółte. Często nabiał – masło, jajka, sery – do poszczególnych domów przynosiły umówione, znajome kobiety z podkieleckich wsi. Codziennie rano było widać kobiety, które miały «zajdy» tak nazywano tobołki na plecach z takimi bańkami dziesięciolitrowymi z blachy, z zamknięciami mającymi tę właściwość, że jak się je wyjęło, to jednocześnie była to miarka na pół litra. Ileż taka kobieta musiała się nadźwigać, by to mleko groszowo sprzedać, przecież przyjść musiała do Kielc, potem wrócić do domu i jeszcze pewnie w gospodarstwie wszystko obrobić.

Ale kolorytu temu miejscu dodawał handel gołębiami. Nie było wówczas żadnej organizacji hodowców gołębi i ta część placu pełniła nie tylko funkcję miejsca handlu gołębiami, ale i spotkań, wymiany doświadczeń. Tu się schodzili handlarze i hodowcy nazywali «gołębiarzami». To byli pasjonaci, którzy godzinami potrafili rozprawiać o swoich gołębiach. Jak pamiętam, sprzedawano tam koki, brajtszwance, tumbuskie, rude nazywane czasami ryżymi, boczki, paliki, pocztowe. A niektórzy mieli tak wyszkolone samiczki, że potrafiły przyprowadzić samczyka z innego gołębnika do siebie. Wtedy brali «rafę», to jest rodzaj skrzynki wysokości 20–30 cm, uplecionej z drutu, którą można było odchylić, podsypać pszenicy czy karmy jakiegś, i jak zwabiony gołąb wszedł, to opuszczało się ją i gołąb był złapany. No i często taki poszkodowany przychodził na plac i szukał swoich gołębi. Jak oni to rozróżniali, że to jest ich gołąb, to ja nie wiem. Dochodziło wtedy do awantur: albo trzeba było wykupić tego gołębia, albo dochodziło do mordobicia i wiem, że pozostali uczestnicy w tych spotkaniach gołębiarskich byli bardzo niezadowoleni, jeżeli ktoś się zdecydował na wykup. Bo jeśli doszło do awantury, to była uciecha, mordobicie, przekleństwa, ale było wesoło.

Jeżeli chodzi o część placu pomiędzy ulicami Śniadeckich a Słowackiego, to był tam gdzieś do roku 1940 postój dorożek, później przeniesiony na Słowackiego za rogiem, po stronie nieparzystej. Przy postoju dorożek ustawiali się chłopci z okolicznych wsi, którzy wjeżdżali furmankami, a w dni targowe było ich tylu, że jak który wjechał o 4 rano (a wjeżdżali ulicą Słowackiego i Śniadeckich), to nie miał szans wycofać się, dopóki chłopci, którzy ustawili swoje furmanki później nie wyjechali. W południowej części placu między ulicami Śniadeckich a Słowackiego ustawiały się furmanki z wa-

rzywami. Z nich zaopatrywano się na zimę w ziemniaki, marchew itp. Pamiętam, że ogórki kupowaliśmy na kopy. Warzywa zimowały w piwnicach zagrzebane w piasku. Piwnice w kamienicach czynszowych były solidne, głębokie. Panowała tam niska temperatura, mogły pełnić rolę chłodni.

Był tam też zdroj. I ten zdroj był zbawieniem, bo i konie można było tam napić i napić się.

My mieszkaliśmy na Słowackiego 2, a więc te dorożki stały niedaleko. W związku z tym bardzo wcześnie moje słownictwo zaczynało być coraz bogatsze, bo dochodziło tam ciągle do awantur. A to zwłaszcza dlatego, że dorożkarze nie wylewali za kołnierz. Była tam taka mała piekarnia żydowska, kupowali tam ćwiartkę chleba, (chleb kosztował 55 groszy, bułka 5 groszy) i kupowali też sobie to co dzisiaj nazywa «małpka», a przed wojną się nazywało «szczeniak» i było w małych okrągłych butelkach. Nieraz coś tam krzyczeli: «O, dzisiaj Franek pierwszą pięć kupił» – mnie to zastanawiało, nie wiedziałem o co chodzi. Okazało się, że to setka spirytusu kosztowała jeden złoty pięć groszy i stąd ta «pierwsza pięć». Wódki były trzech kolorów: czerwona, czyli tzw. lży robotnicze (czerwona nie dlatego, że była czerwona a dlatego że miała czerwoną naklejkę), siwa miała taką granatowo-niebieską naklejkę i był jeszcze spirytus, który miał białą naklejkę ze złotymi literami. Te «wódczane wiadomości» znam oczywiście z podsłuchań barwnego życia targowego na pl. Wolności.”

Nagranie z 9 sierpnia 2013 r.

„Opowiem teraz jeszcze o znajdujących się przy pl. Wolności sklepach i punktach usługowych.

Na parterze kamienicy stojącej na rogu ulic Słowackiego i Mickiewicza działała apteka Cypriana Gierałtowskiego. Gierałtowski był to, jak pamiętam, sędziwy pan, mocno głuchy, prawdziwy aptekarz z powołania. Zmarł mając lat 90. Doskonale znał się na leczeniu chorób skórnych. Sławna była jego zielona woda do okładów i zielona maść, zapewne z arniką. Nie chciał nikomu przekazać składu. W dni targowe, tj. wtorki i piątki, w kolejce stało wielu mieszkańców okolicznych wsi po poradę i lekarstwa. Pieńiądze p. Cyprian brał tylko za lekarstwa, doradzał za darmo. Był namiętym brydży-stą. Przypadło mu grać z własnym synem Stefanem. Gdy p. Cyprian «spaprał» wyjście ten zaczął go rugać. Nie mając argumentu na obronę p. Cyprian palnął dłonią w stół i zawołał «milcz gówniarzu». «Gówniarz» miał 65 lat, a tato 85.”

Fragment tekstu „Apteki kieleckie” z 2010 r.

„W miejscu, w którym zaczyna się ulica Słowackiego, gdzie obecnie stoi dom nr 9, był skład Lucjana Czechowskiego, taki wolny plac łączący się z podwórkiem kamienicy przy ul. Mickiewicza 1, gdzie był drugi wjazd. Lucjan Czechowski handlował tam węglem, w głębi placu stała duża waga wozowa. Handlował też wchodzącymi na rynek rolny sztucznymi nawozami, które były bardzo drogie. Chłopi kupowali dosłownie po parę kilo. Pan Lucjan bardzo lubił dzieci i dzieci też lubiły pana Lucjana. Odpytywał

dzieciaki z wydarzeń dnia, z postępów w nauce. Częstoował cukierkami a czasem, gdy ktoś coś przeskrobał i źle mu z oczu patrzyło, wymierzał «karę», czyli tzw. kotlety, w tylną część ciała. Kazał delikwentowi wybierać czy «kotlety» mają być «siekanie» czy «bite». «Siekanie» to były razy krawędzią dłoni, a «bite» to były klapsy. Podwórce przy Mickiewicza 1 mieściło pięć garaży Policji Państwowej, która miała swój komisariat na rogu ulic Mickiewicza i Wesołej. W kącie podwórza były stajnie, w których pan Czechowski trzymał konie do rozwożenia węgla. W latach pięćdziesiątych w miejsce składu węgla p. Czechowskiego wybudowano dom. Tam przez długie lata mieścił się antykwariat A. Metzgera.”

Nagranie z 9 sierpnia 2013 r.

„W domu przy ul. Słowackiego 2 zakład fryzjerski wraz z żoną prowadził p. Łojek. Był to miły, niewysoki brunecik. Miał skłonność do używania brylantyny. Był to rodzaj usztywniacza do włosów (odpowiednik dzisiejszego lakieru do włosów) w formie pachnącej pomady. Mój Tato kazał mnie strzyc z grzywką – wstrętna fryzura. Trochę włosów od czoła a reszta «łepetyny» na zero. Kiedyś, gdy już było mi wolno nie strzyc się z grzywką, wróciłem dumny od p. Łojka, wypacykowany brylantyną. Tato ku mojemu żalowi kazał mi umyć włosy. [...]

Nie znano i nie było w tamtych czasach zagrożenia dzisiejszymi infekcjami, więc golenie zarostu było stałym zabiegiem fryzjerskim. Mój Tato golił się codziennie u fryzjera. [...] Niegdyś strzyżenie wykonywano wyłącznie nożyczkami i grzebieniami. Po wynalezieniu i wprowadzeniu (zdaje się amerykański wynalazek) ręcznych maszynek do strzyżenia, tylko na żądanie strzyżono nożyczkami, ale była to droższa usługa. Maszynki ręczne były w użyciu jeszcze w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku, po czym weszły w użycie elektryczne maszynki do strzyżenia. [...] Nożyczki, maszynki do golenia, brzytwy tępiły się często. Stępione, były ostrzone przez p. Wilka, szlifierza wielkiej klasy. Zrazu prowadził warsztat szlifierski w nędznej szopie, gdzieś na zapleczu dzisiejszego pomieszczenia Urzędu Kontroli Wag¹, między ul. Leonarda a ul. Niecałą. Przeniósł swój warsztat na ul. Wesołą 28/Rynek 9 (posesja przelotowa), gdzie prowadził zakład wraz z żoną i synem. Wszyscy troje byli genialnymi szlifierzami zważywszy, że szlifowali wyłącznie ręcznie, tzn. na kamieniach szlifierskich poruszanych obrotowo silnikami elektrycznymi. Zakład p. Wilka ostrzył narzędzia chirurgiczne do szpitala. W chirurgii nie było wówczas lancetów z wymiennymi ostrzami. Z uwagi na brak autoklawów termicznych narzędzia chirurgiczne gotowano w autoklawach wodnych i stąd szybkie ich tępienie się. [...]

Po stronie damskiej zakładu fryzjerskiego królowała ondulacja «żelazkowa», a z czasem nastąpiła ondulacja trwała, zwana też «wieczną», po pokazaniu się pierwszych środków chemicznych do włosów. Ondulacja «żelazkowa» było to po prostu tak

1 Obwodowy Urząd Miar w Kielcach, ul. w. Leonarda 14.

naprawdę przypalanie włosów rodzajem szczypiec (lokówkami) zwanych żelazkami, różnej średnicy (dające różne loki) nagrzewanymi nad specjalną lampką denaturową.”

Fragment tekstu „Fryzjerzy kieleccy” z 2010 r.

„W kamienicy państwa Zagajskich, róg ul. Słowackiego 1 i pl. Wolności 8, w pomieszczeniu od strony placu prowadzili wędliniarnie państwo Szulborscy. Byli bezdzietnym małżeństwem. Mieszkali na parterze od Słowackiego 1, a mieszkanie miało bezpośrednie połączenie ze sklepem. Czasami kupowaliśmy tam szynkę. Mieszkaliśmy na piętrze domu przy ul. Słowackiego 2, naprzeciwko p. Szulborskich. Całe niedziele w okresie miesięcy letnich p. Szulborscy oparli na łokciach, każde w osobnym oknie, wyglądali na ulicę. Widok mieli niezbyt wspaniały, gdyż wzdłuż Słowackiego od ich strony był postój dorożek konnych. W sieni domu przy pl. Wolności 8 parterze wchodziło się do obszernych pomieszczeń jadalni braci Ostrowskich. Wraz z ojcem serwowali proste potrawy jak: kapuśniak, żur z kielbasą, bigos itp., dostosowane do gustów wieśniaków zjeżdżających na targi we wtorek i piątek. Oprócz ww. potraw sprzedawali też proste wędliny: boczek pieczony gruby na pięć palców z rumianą skórką krajaną w kratkę (zawsze miałem chęć na niego, ale w domu nie kupowano boczku), kielbasę, salceson itp. Prowadzili też oczywiście wyszynk. Pito tam wyłącznie wódkę czystą z czerwoną nalepką. Była najtańsza, w litrowych butelkach.

Przy pl. Wolności 7 w narożnej kamienicy z ul. Śniadeckich, będącej własnością rodziny Lejmanów, w pomieszczeniu od strony placu mieściła się wędliniarnia Lejmana. Handel wędlinami i mięsem utrzymywał się w tym pomieszczeniu od przed wojny niemal po czas dzisiejszy. Niespotykana trwałość sklepu jednej branży. Od niedawna mieści się tam fryzjer damski.

W budynku przy pl. Wolności 19, będącym własnością pana Sputy, prowadził on zakład wędliniarski, natomiast sprzedaż prowadził w małym pomieszczeniu przy ul. Dużej 9 w domu, gdzie się mieści Teatr „Kubuś”. Najpopularniejszym towarem w sprzedaży była tzw. rozmaitość. Były to różne wędliny, których cena była tak skalkulowana, że zapewniała odpowiedni, lecz rzetelny zysk. Za ladą, na półmiskach leżały wszystkie rodzaje wędlin pokrajane w plasterki, które ekspedientka nakładała na wagę, biorąc z każdego półmiska dość dowolną ilość każdej z nich. Można było poprosić o większą lub mniejszą ilość danej wędliny. Rozmaitość była pakowana w biały papier, obwiązywana cienkim papierowym sznureczkiem z kołowrotka z ostrzem na wierzchu do przecinania sznurka. Pakunek zaopatrywano w patyczek długości około 4 cm do wygodnego niesienia między palcami.”

Fragment tekstu „Wędliniarze kieleccy” z 2010 r.

„Przy pl. Wolności 12 był sklep z pieczywem Józefa Brydackiego, piekarnia była naprzeciwko, przy ul. Hipotecznej 8. Pan Brydacki miał w nim ręczną tarczową maszynkę do krojenia chleba, w tych czasach rzecz niespotykaną. Pod naszym balkonem obrokiem dla dorożkarzy handlował Pan Bielnicki. Dorożkarze byli biedni i kupowali

po dwa czy pięć kilo jakiegoś obroku dla tej swojej chabety, bo kurs przez Sienkiewicza do stacji to 80 groszy albo złotówka, więc co oni tam zarabiali.

Obok był żydowski sklep z pieczywem. Gdzie była piekarnia nie wiem. Ekspedientka miała na imię Salcia. Sprzedawano tam m.in. bardzo słodki biszkopt pod nazwą w języku idisz – plejwa. Chleb wypiekano w dwukilogramowych okrągłych bochenkach. Żaden piekarz nie przekrajał gorącego chleba. Przekrajane połówki kładziono na wagę szalkową i z cięższej części bochenka odrywano ukośną pajdkę i dokładano do lżejszej połówki. Brałem połówkę z pajdką, by ją zjeść po drodze do domu – już chodziłem na zakupy sam, w 1939 r. miałem 10 lat.

Po wojnie pozostało tam pełne wyposażenie sklepu piekarniczego, na kancie lady było wycięte wgłębienie od przekrawania chleba. Urządzenie sklepu było potem wykorzystywane w powstałym tam warsztacie szewskim p. Edwarda Dzwonka.”

Fragment tekstu „Piekarnie” z 2010 r.

„Mistrz Edward Dzwonek miał warsztat przy ul. Śniadeckich 19 (do stycznia 1945 r.). Było to małe jednoizbowe pomieszczenie na parterze oficyny. Oświetlała warsztat lampa naftowa, nad którą była kratka, pan Edward grzał na niej «ambus», takie żelazko w kształcie młoteczka do rozprowadzania wosku szewskiego na obrzeżach podeszew. Pana Dzwonka nie było stać na założenie elektryczności. Robił i reperował buty czterem pokoleniom Maciejewskich i Borkowskich. Podstawą działalności Mistrza Edwarda były reperacje. W reperacjach był artystą. Myślę, że nie było w Kielcach lepszego i solidniejszego szewca.

Naprzeciwko warsztatu mieszkała moja ukochana Ciocia Maryla i z tej racji od wczesnych lat chłopięcych byłem częstym gościem w warsztacie. Było tam w wieczory ponuro, ale urzekła osoba p. Edwarda. Siedział na zydlu szewskim w fartuchu, do kolan miał przyciągnięty pociągłem but na kopycie. Wyciągał z garnka z wodą moczącą się skórę i nożem szewskim (knypem) odcinał kawałek, dopasowywał do buta, przybijał szpilkami (drewniane kołeczki) wbijanymi w dziurki zrobione szpilarkiem. Gdy reperował wierzchy butów siadał do laciarki, takiej maszyny do szycia dostosowanej do zakładania od wewnątrz butów na wysięgnik maszyny, i zszywał, cerował, a robił to naprawdę artystycznie.

W styczniu 1945 r. pocisk uderzył obok warsztatu, poważnie go uszkadzając. Pan Dzwonek przeniósł się na Słowackiego 2 gdzie prowadził warsztat do końca życia. Mieszkaliśmy nad warsztatem, więc nadal często przesiadywałem u p. Dzwonka. Przy jego pomocy zrobiłem sam dla siebie buty – kamaszki.

Pan Edward przeżył tragikomiczną sytuację. Gdzieś pod koniec 1945 r. sowiecki żołnierz przyniósł kawałek czarnego brezentu i zażądał uszycia cholew i zrobienia butów. Żołnierze radzieccy miawali takie buty. Z oporem p. Edward się zgodził. Uszył piękne cholewki i zrobił buty. Na kopycie prezentowały się wprost znakomicie. Przyszedł żołdat. Był zachwycony. Pan Dzwonek wyjął kopyta. Z butów zrobiły się... pończochy. Pan Dzwonek nigdy nie robił butów z materiału-brezentu i potraktował go

jak skórę przy naciąganiu i modelowaniu na kopycie. Skórzane cholewy zachowują już na stałe kształt kopyta. Brezent zachował się natomiast jak guma. Sowiec o mało co nie zastrzelił p. Dzwonka. Uratował go patrol polskich żołnierzy przywołany przeze mnie. Dobrze, że byli przypadkiem koło apteki Gierałtowskiego. Po 1945r zaczął p. Dzwonek pracować z synem Wackiem, również solidnym fachowcem. Obaj nigdy nie mieli «szweskich poniedziałków». Nie pili. To byli przyzwoici ludzie.”

Fragment tekstu „O niektórych szwecach kieleckich” z 2010 r.

„W budynku przy pl. Wolności 10 sklep papierniczy prowadziły panie Ptaszyńskie, dwie siostry, stare panny. Były to osoby kostyczne, ubrane na czarno i niezbyt sympatyczne. Był to długi wąski lokal. Wzdłuż całego sklepu po lewej stronie od wejścia stała lada sklepowa, a za nią półki z materiałami. Były to podstawowe zeszyty szesnastokartkowe w linię, w trzy linijki dla pierwszoklasistów i w kratkę. Były też zeszyty trzydziestodwu-, sześćdziesięcio- i stukartkowe, każdym zeszytce obowiązkowo bibuła do osuszania atramentu. W zależności od papieru były zeszyty zwykłe i luksusowe. Papier kancelaryjny gładki w linię i w kratkę. Kolorowe papiery podgumowane i bibułki gładkie i marszczone, podstawa ozdób na choinkę, ołówki zwykłe nr 2 (skala twardości) i atramentowe, zwane też chemicznymi, do sporządzania ważnych pism i kwitów. Nie dały się usunąć z papieru. Kalki do sporządzania kopii pism. Niebieskie do pisma ręcznego i czarne do maszynopisów. Kredki pastelowe i świecowe. Obsadki do stalówek i stalówki. Wśród stalówek był wielki wybór rodzajów. Najpopularniejsze były «krzyżówki» (miały otwór w formie krzyżyka), rondówki (ukochane Mojej Mamy) pozwalały na ozdobne pisanie, i inne. Atramenty zwykłe i do wiecznych piór, w tym czasie bardzo prymitywnych. Litrowe butelki atramentu do szkół. Ołówki zwykłe, atramentowe ołówki kolorowe, kredki były przeważnie z fabryki Majewskiego w Pruszkowie. Temperówki były to zwykłe żyletki do golenia osadzone w uchwytych z twardej tekturki. Piórniki z drewna otwierane i odsuwane, służące niektórym nauczycielom do «dawania po łapie». W piórniku mieściła się obsadka ze stalówką, ołówki, gumki do wycierania i szmatka. Jeżeli nawet dodamy do tego różne rodzaje papierów pakowych w arkuszach i arkuszy tektur różnej grubości to i tak nie wyczerpiemy bogactwa asortymentów. Panie Ptaszyńskie prowadziły swój sklep do stycznia 1945 r., kiedy to w budynek trafił pocisk i dom palił się przez parę dni. Pomimo, że był wypalony, dobudowano drugie piętro i dom stoi do dzisiaj. W oficynie, która ocalała przed pożarem, miał pracownię czapnik robiący między innymi czapki szkolne. Panie Ptaszyńskie już nigdy nie wróciły do swojej branży papierniczej. Przy ul. Bodzentyńskiej na przeciwko kościoła św. Wojciecha przez długie lata prowadziły maleńką, nędzną, wykonaną z desek budkę. Handlowały tam domowymi wypiekami – ciastkami od różnych pań, które w ten sposób biednie zarabiała na życie. Jakoś w latach 1960–1965 panie Ptaszyńskie zniknęły z ul. Bodzentyńskiej.

W budynku przy pl. Wolności 10, koło pań Ptaszyńskich prowadził wraz z żoną warsztat reperacji rowerów pan Kafar. Po pożarze przeniósł warsztat do maleńkiego

pomieszczenia w pobliskim budynku pod 7. Żona jego świetnie centrowała koła od rowerów.”

Fragment tekstu „Papeterie” z 2010 r.

*

Lech Maciejewski – kielczanin, urodzony 1 stycznia 1930 r. w rodzinie aptekarza Witolda Maciejewskiego i Antoniny z Borkowskich. Z wykształcenia inżynier ceramik, przez wiele lat pełnił funkcję wicedyrektora do spraw administracyjno-technicznych Muzeum Narodowego w Kielcach. Miłośnik dawnych Kielc, przyjaciel i darczyńca Muzeum Historii Kielc.

Publikowane wyżej fragmenty wspomnień pochodzą z rękopisów, złożonych przez Lecha Maciejewskiego w 2010 r. w Muzeum Historii Kielc oraz ze spisanych nagrań dźwiękowych, dokonanych osobiście przez autora w latach 2009–2015. Wyboru fragmentów do publikacji dokonano z udziałem autora.

Opracował Marcin Kolasa

Lech Maciejewski (Kielce)**Around Plac Wolności. Memories of the citizen of Kielce, ed. Marcin Kolasa**

Lech Maciejewski, born in 1930, in Kielce, an engineer, a long-standing employee of the National Museum in Kielce. Since his birth, he lived in the vicinity of pl. Wolności, formerly pl. Bazarowy, the place of Kielce market. The fragments of memories of the childhood related to everyday life of pl. Wolności before 1939.

Key words: trade and crafts, Kielce, the history of the twentieth century.